Rozmaitości

DNIA 7. LISTOPADA Ner 45. 1835 ROKU.

ZNAIRA.

POWIEŚĆ AFRYKAŃSKA.

Z dzieła przeszł. roku wyszłego w Paryżu: *Tunis, Nouvelles africaines; par J. L. Lugan.*

(Dokończenie.)

Przez ośm dni nie widział Leopold Znairy, a miłość bez nadziei widocznie zatruwała mu życie. Czego nie byłby dał zato, gdyby mu było wolno z zapadniętémi ze zgryzoty licami stanąć i użalić się przed nią, atoli ile razy przyszedł, nie dziewica, lecz ojciec nalewał naczynię wodą i zapalał lampę. Leopold czekał z niecierpliwością dnia, kiedy Maur miał odbywać zwyczajną pielgrzymkę do Hamamet; dzień ten nadszedł i Francuz widział go zchodzącego w dolinę. Poszedł zatém tajemnie do *marabutu*, czekał jednak dzień cały nadaremnie. Zawsze jeszsze miał nadzieję, że wieczorem obaczy dziewicę, lecz gdy wieczór przeminął i noc nadeszła, gdy księżyc na niebie zajaśniał i modły kapłanów ze szczytu minaretów ciszę nocną przerywały, a nie było Znairy koło *marabutu*; natenczas ponura rozpacz opanowała młodego przyjaciela naszego, rzucił się na ziemię i zaczął płakać. »Dla czegoż,« wołał z boleścią, »ukrywa się przede mną? Nie!« zawołał zrywając się raptownie, »przynajmniéj widziéć ją muszę, niech będzie co chce!« — Koło domku stało drzewo, którego gałęzie rozciągały się przez taras i jednę jego część ocieniały. Leopold wylazł na to drzewo, dostał się tym sposobem na taras, a ztamtąd na dziedziniec, znajdujący się pośrodku zabudowania. Tak drżał mocno, że nogi zaledwo utrzymać go mogły, i zmuszonym się widział usiąść na ławce kamiennéj. Na dziedziniec wychodziły cztéry komnaty, w których drzwi otwarte oczy jego z tęsknotą były wlepione. W jednéj tylko z tych komnat zakrywała wstęp duża, zielona i spuszczona zasłona. Noc była cudna, w około najgłębsze panowało milczenie. Leopold, nabrawszy serca, wszedł najprzód do owych trzech komnat, u których drzwi otwarte były. W jednéj z nich znalazł suknie męzkie i łoże; w drugiéj broń i chorągwie, a w trzeciéj w około ściany ciągnący się dywan. Pozostał jeszcze czwarty pokoik do przejrzenia, zdający się być najładniéjszym ze wszystkich. Kwiaty stały około murów zewnętrznych, dwa drzewa wzrastały przed drzwiami i wstęp ocieniały. Leopold domyślił się, że to być musi komnata Znairy, z cicha odsunął zasłonę i zdawało mu się, że widzi lutnię i suknię materyjalną, wiszące na ścianie, na łóżku zaś leżącą młodą dziéwczynę. Uczuł zawrót głowy i zaledwo odetchnąć ośmielił się, lecz nie słysząc najmniéjzzego z nikąd szelestu, wsunął się do komnaty. Teraz mógł tam jak najwyraźniéj rozróżnić wszelkie przedmioty; promienie księżyca przez kilka wciskając się otworów, rozlewały blade światło po komacie. Znaira, bo onato była, leżała na otomanie tureckiéj. Była ubrana, lecz suknia jéj składała się z krótkiéj tuniki bez pasa; była w najpowabniéjszym nieporządku. Promień księżyca padał tuż koło jéj głowy na ścianę, a jasność od téj odbita, oświécała twarz, szyję i obnażone ramiona ładnéj Maurytanki. Leopold patrzał na nią z uniesieniem, i był aż do łez rozczulony. Rysy oblicza kochanki zdawały mu się zmienione, jéj twarz bladą; pukiel włosów spadający na ramię, na którém jéj głowa spoczywała, poruszany był lekkim ust jéj oddechem: »Ach!« rzecze Leopold, »krom tego, innego szczęścia nie żądam; widzę cię spiącą i już jestem szczęśliwy!«

Sen jakiś zdawał się niepokoić Znairę, rumieniec wystąpił na jéj lica, pierś wznosiła się gwałtownie. Wzdychała, a z ust jéj ciche i miłe wyrazy wypływały. Raptem podniosłszy się, usiadła na łóżku, otworzyła oczy i zdawała się czuwać, lubo sen trzymał ją jeszcze w swych więzach. Widziała siedzącego przy sobie Leopolda, czuła, jak ją rękoma obejmował i w połowie czuwając, w połowie marząc jeszcze, czule na niego poglądała. »Znairo,« rzecze Leopold, przyciskając ją ku sobie, »kochasz ty mnie?« — »Kocham cię,« odrzekła o jego piersi oparta. W téj chwili zapukano trzy razy do bramy; przestraszeni kochankowie odskoczyli od siebie. »Co to jest?« zawołała Znaira, »co za zgiełk? Gdzie jestem? Kto ty jesteś? Co tu porabiasz?« To rzekłszy drząca na całém ciele wyskoczyła z łóżka, a w obłąkaném jéj spojrzeniu malowały się przerażenie i bojaźń. »Znairo!« szepnął Leopold, »uspokój się, to ja jestem; nie mówiłażeś, iż mię kochasz? Czyliż nie przyciskałaś mię do serca swojego?« — »Ty tutaj, o téj godzinie? a lica moje w płomieniach? Więc nie byłto sen! Wielki Boże, czyliż mię całkiem opuściłeś!?« Trzy nowe uderzenia dały się słyszeć u bramy, którym towarzyszyło wołanie: »To ja jestem Znairo, otwórz!« — »To głos ojca mojego,« rzekła drząca dziewica, »zginęłam!« — »Twój ojciec!... O! powiédz Znairo, co mam czynić? życie moje do ciebie należy. Otwórz bramę, rzucę się do nóg twojego ojca, wyrzeknę się wiary mojéj, a ty zostaniesz małżonką moją. Zaklinam cię Znairo, nie drżyj; o ojczyznie, o religii, o wszystkiém zapomnę dla ciebie!« — »Tyś chrześcijanin! o! to zginęliśmy! uciekaj! uciekaj, uciekaj! bo nas zabije oboje.« Znaira nie dała młodemu przyjacielowi naszemu czasu do odpowiedzi, lecz zaprowadziła go do jednéj z komnat, w któréj był już piérwéj, otworzyła małe drzwiczki, wypchnęła go na dwór, a Leopold ujrzał się w ogrodzie za domkiem. Tam raz jeszcze uścisnął kochankę, a potém zniknął za drzewami. Znaira czuła się być w najwyższym stopniu znużoną; z trudnością tylko przywlekła się ku bramie i otworzyła ojcu, który już był czekaniem zniecierpliwiony. »Spałaś lube dziecię,« rzekł wchodząc Maurytanin, »obudziłem cię!« Nic nie odpowiedziała i padła zemdlona w jego ramiona.

Hazzuz czule kochał córkę. Mimo ponuréj powiérzchowności, jaką często przybiérał dla ustalenia sobie wpływu u gminu, miał jednak serce tkliwe. Zaniósł Znairę do komnaty i troskliwie zajmował się nią, dopokąd nie przyszła do siebie. Znaira, otworzywszy oczy odzyskała przypomnienie tego, co zaszło, i byłaby się niezawodnie zdradziła, lecz wzruszenie jéj było za nadto gwałtowne. Czuła ucisk na sercu i łzy płynęły z ócz jéj, lecz nie była w stanie odkryć przyczyny smutku swojego. Ojciec na wszystkie zapytania nie otrzymał żadnéj zaspokajającéj odpowiedzi, mniemał przeto, że córka jego chora i błagał nieba, by jéj spokojność i zdrowie powróciło. I Znaira usiłowała modlić się, lecz nie miała ufności w modlitwie, bo serce jéj było w sprzeczności z wyrazami, które jéj usta wymawiały.

Mocno poruszony wrócił Leopold do domu. Stałe uczynił postanowienie zostać mohamedaninem dla poślubienia Znairy. Tylko wspomnienie o ojczyznie i o starym ojcu, boleśnie go jeszcze dotykało. Chciał ich raz jeszcze obaczyć, powiedziéć ostatnie pożegnanie, a potém do Néblu powrócić. Pewną starą niewiastę posłał do kochanki dla doniesienia téjże o postanowieniu swojém i proszenia Znairy, by z nim widziéć się chciała. Tak czułą była prośba Leopolda, że nie mogła być niewysłuchaną. Wyznaczono mu jedénastą godzinę w nocy na schadzkę z kochanką w ogrodzie.

Noc była posępna i zdawała się sprzyjać celowi temu. Chmurami okryte niebo i łyskawice na dalekim widnokręgu zapowiadały zbliżającą się burzę. Znaira, usiadłszy na ławce i oparłszy głowę na ręku, oczekiwała kochanka. Nareszcie zaszeleszczały gałęzie i kochanek rzucił się jéj do nóg. »Znairo!« rzecze Leopold, »gdy tak leżę u nóg twoich, łatwo mi o ojczyznie zapomniéć. Chciałem ją raz jeszcze oglądać, ale wreszcie pocóż tego? Rzeknij słowo, a jutro zaraz wyprę się wiary mojéj i zostanę twoim!« — »Mój przyjacielu,« odrzekła dziewica, »ten, za którego zrządzeniem pod różnémi urodziliśmy się strefami, jest przeciwny szczęściu naszemu. Nie jest przeznaczeniem naszém, byśmy téj błogości używali. Ja szczęście moje znalazłabym w tobie, ale mógłżebyś ty ojca swojego,

mógłżebyś ojczyznę swoję zapomnieć?« — »Mój ojciec, »rzekł Leopold, »kocha mię i chce mojego szczęścia. Co się zaś tycze ojczyzny mojéj, tam jest ojczyzna, gdzie ty.« — »Kiedy tak, to odjeżdżaj, a jeźli za powrotem nie zapomniesz jeszcze o twojéj Znairze, natenczas zostanę twoją na zawsze.« Znaira uśmiéchnęła się, a jednak podszepnął jéj jakiś głos wewnętrzny, że nie ujrzy więcéj kochanka. Raz jeszcze uściskali się oboje, usta przytknęły się do ust, i łzy ich pomięszały się razem... »Bywaj zdrowa,« rzecze Leopold, »nim dwa miesiące przeminą, ujrzysz mię znowu u nóg twoich.« Rzenie rumaka rozdzieliło kochanków. Spieszno pobiegł Leopold do służalca, który go oczekiwał, siadł na konia i udał się drogą do Tunetu, zkąd nazajutrz zaraz miał zamiar popłynąć na okręcie do Francyi.

Nie ukryło się to, że Leopold w sukniach maurytańskich skradał się koło *marabutu.* Żyd go widział, Żyd tak podły, jak wszyscy tego wyznania w tym kraju, który za jednę *karube**) gotów żebraka w nogi pocałować. Leopold widywał Żyda tego u Sidy Ahmeda i z pogardą go traktował. Żyd, by się pomścić, lub może w nadziei zyskania kilka piastrów, wziął się do spiegowania. Widział młodego Francuza wdzierającego się na taras onéj nocy, gdy był u kochanki w komnacie, i o wszystkiém, co wtedy widział, doniósł pewnemu ulemie, który dawno już nie nawidził ojca Znairy dla znaczenia, jakiego powszechnie doznawał. Gdy Leopold raz ostatni żegnał się z kochanką, śledziony był przez czterech na czatach znajdujących się moslemitanów. Ulema i szeryfowie Nebłu, zostawszy o tém zawiadomieni udali się o drugiéj godzinie zrana, w towarzystwie kilku żołnierzy, do domu biednego ojca. Na pukanie żołnierzy otworzył Hazzuz, wpuścił przybyłych na dziedziniec i rzekł: »Witajcie! co was sprowadza o téj godzinie do mnie?« — »Bluźniercza zbrodnia,« odpowiedział ulema, »popełnioną została na świętém miejscu; znieważone jest ono przez miłość wyznawczyni izlamizmu, która się w chrześcijaninie pokochała.« — »Niech przeklętymi będą!« zawołał Hazzuz; jedynie bogobojność nasza będzie może w stanie gniéw Boga od naszego miasta odwrócić.« — »Prawa nasze wyraźnie mówią;« odezwał się szeryf, »występczyni nie powinna oglądać dłużéj światła dziennego; ma być do morza wrzuconą.« — »Oby burza,« zabrał Hazzuz głos, »trupa jéj nie zapędziła na powrót do naszych brzegów, bo ziemia, któréj on się dotknie, jest przeklętą. Niech sprawiedliwość działanie swoje rozpocznie!« — »Niech rozpocznie działanie swoje!« powtórzyli wszyscy. »Kiedy tak,« rzecze szeryf, »to wydaj nam córkę swoję, ona to zbezcześciła święte miejsce.« — »Córka moja!?« zawołał Hazzuz. Lampa, którą trzymał w ręku, ostatnie rzuciła światło na zbladłe jego oblicze, wypadła bowiem z drżących rąk jego i zagasła na ziemi. »Córka moja!« powtórzył silnym głosem, »kłamiesz!« — »Przywołaj córki swojéj,« rzecze moslemitanin, »lecz może jest jeszcze u swojego chrześcijanina.« — »Jeźli kłamiecie, to biada wam!« piorunującym głosem krzyknął Hazzuz. Spieszno pobiegł do komnaty córki, wołał ją, przystąpił do łóżka i znalazł je próżném. Na raz przypomniał sobie jéj smutek, jéj łzy i zadrżał na myśl tę, że może w istocie jest winną. Znaira usłyszała zgiełk; przelękniona biegła z ogrodu przez dziedziniec, gdy się z ojcem zdybała. »Zkąd idziesz?« zawołał Hazzuz na córkę, która się nagle wstrzymała, zawołał głosem, w którym rozróżnić było można żałość z zapamiętałym gniewem pomieszaną. Nie odpowiedziała nieszczęśliwa i zdawało się, że skamieniała. »Zkąd idziesz!« powtórzył Hazzuz okropnym tonem, przystępując bliżéj. Znaira padła mu do nóg. »Nie przeklinaj mię ojcze!« zawołała, obejmując jego kolana. Maur z gniewem podniósł jéj głowę do góry i wołał: »Mów, zkąd idziesz! Odpowiedz tym oto, moja córko! powiedz im, że kłamią, obwiniają cię bowiem, żeś miejsce święte miłością z chrześcijaninem znieważyła.« — »Ojcze, nie przeklinaj mię!« powtórzyła młoda dziewica, przykładając usta swoje do nóg ojcowskich. — »Więc wyznajesz zbrodnię twoję pełzający robaku, któremu głowę rozgnieśćbym powinien?« Lecz zarazem gniéw i wszelkie uczucie ojcowskie zniknęło z serca Maurytanina i rzekł tylko te słowa: »Wielki Boże, dla czegoż nie dałeś mi córki, którąby godną mnie była! Wielki jest Bóg!« — »Wielki jest Bóg!« powtórzyli moslemitanie. »Córka moja już nie należy więcéj do mnie,« mówił

*) Pieniądz tunetański, w wartości fenika.

Hazzuz dalej, »ciało jéj należy do sprawiedliwości ludzkiéj, a dusza do sprawiedliwości Boga; weźcie ją!« Kilkanaście rąk poruszyło się na te słowa, dla schwytania już wpół-umarłéj; lecz gdy uczuła dotknięcie żołniérzy, wyrwała się i wyciągając ramiona, zawołała głosem serce rozdziérającym: »Mój ojcze, mój ojcze!« Pociągniono biédną z sobą, a ojciec pojrzał za córką ponurym wzrokiem. »O! mój ojcze!« wołała z daleka jeszcze Znaira, »uścikaj mię raz jeszcze, nim umrę!« Uczucie ojcowskie nie mogło dłużéj wstrzymać się na te słowa; Hazzuz skoczył za córką; łzy płynęły po jego licu i mocno wzruszony uściskał dziécię swoje. »Czekajcie chwilę jeszcze,« rzekł ojciec, »ażebym wam oddał córkę godną stanąć przed Bogiem.« To mówiąc zaprowadził ją do małego *marabutu* i drzwi zamknął za sobą. Co się tam działo, jestto głęboko ukryta tajemnica religii. Bezwątpienia klęczeli i modlili się. W ćwierć godziny otworzyły się drzwi i Hazzuz wyszedł, prowadząc córkę za rękę. Żołniérze zapalili tymczasem pochodnie, a tych blask przerażający oświécił wychodzących, których rysy odznaczone były wzniosłą rezygnacyją, i zgoła czémsiéć nadludzkiem. Hazzuz nie przeklinał wiécéj córki, nie płakał więcéj. Znaira powtórnie żołniérzom oddana, raz jeszcze uklękła przed ojcém i rzekła: »Pobłogosław mię ojcze!« — »Wielki Boże!« zawołał Hazzuz z oczyma wzniesionémi ku niebu, »miłosierdzie twoje jest bez granic, przyjm córkę moję na twoje łono. Błogosławię cię dziécię moje! umiéraj w spokoju, a tam w niebiesiech znajdziesz ojca, który na ciebie gniewać się nie będzie.« To rzekłszy podniósł córkę, raz jeszcze ją uścisnął i oddalił się.

Orszak ruszył teraz z poza *marabutu* w dalszą drogę. Znairę otaczali żołniérze, a ulema z szeryfem towarzyszyli jéj; jeden moslemitanin niósł za nimi worek i postrąki. Znaira postępowała z głową spuszczoną i myślała o tym, z powodu którego umiéra. Przez te pola, mówiła w duchu, jechał ón, z nadzieją w sercu, że mnie jeszcze obaczy; o! jakże wielki będzie żal jego, gdy się dowié, żem umarła. Często jeszcze oglądała się, by widziéć *marabut* i ojca. Gdyby nie w tak ciemnéj nocy, byłaby widziała tego ostatniego, jak smutno za tym orszakiem śmierci postępował.

Nareszcie zatrzymał się orszak, pochodnie rzucały czerwone światło na morze i ujrzano przymocowaną do brzegu barkę. Gromy huczały, spadały duże krople deszczu i wiatr zachodni wył burzliwie. Znaira zemdlała na widok morza. Pochodnie zagasły, zmysłów pozbawioną dziewicę potoczono po piasku i wrzucono do barki, trzech ludzi wskoczyło za nią i odbili od brzegów mimo niebezpieczeństwa zatonienia w burzy.

W téj chwili nadszedł ojciec; postanowił ocalić dziecko swoje: »Niech Bóg odwróci śmierć jéj,« zawołał, »wstrzymajcie się!« Niestety! było już za późno; przy świetle łyskawicy widziano wór wpadający do morza. Na widok ten upadł rozpaczający Hazzuz na piasek. Wróciła barka i z trudnością tylko przybiła do brzegu. Burza z okropną srożyła się wściekłością, wszyscy spieszno opuścili brzég morza, i nieszczęśliwego Hazzuza samego zostawiono w żalu. Dwaj Arabowie, których namioty stały nie daleko od brzegów, byli świadkami tego widowiska; jeszcze oczy mieli wlepione w morze, gdy raptem coś białego ujrzeli wystającego z toni. Pobiegli ku brzegom w nadziei, że może bałwany morskie utopioną na brzég wyrzucą. Przybywszy do brzegów widzieli, jak Hazzuz wsiadł właśnie do barki i odbił od lądu. Wkrótce stracili go z oczów. Czekali długo, ale nie ujrzęli więcéj ani ciała dziewicy, ani barki.

Nazajutrz wieczorem bryg *Neptun* stał w zatoce Tunetu, gotowy do rozwinienia żaglów; podnoszono kotwicę, rozpuszczono żagle. Leopold stał na pokładzie, mając zwrócone oczy ku krajowi, w którym zostawiał przedmiot swéj miłości. Naglił do przyspieszenia żeglugi, wiatr był pomyślny i naprzód obliczał dnie, przez które w podróży zabawi. Z radością uważał, jak wiatr okrętem kołysał i z radością słuchał głosu majtków, przygotowujących się do żeglugi. W téj chwili barka przypływała do brygu: »Czekaj *Neptunie!*« wołano z daleka, »jeszcze jest list jeden, bardzo pilny.« Przybyła barka, odebrano list i bryg odpłynął na morze. List oddano Leopoldowi, był od Sidy Alego. Na pokładzie byli wszyscy w poruszeniu, każdy był na swojém miejscu i dała się słyszéć piszczałka szypra. Leopold rozpieczętował list i zemdlał. W pierwszej chwili nikt na niego

nie uważał: »Baczność!« krzyknął nareszcie szyper, który go spostrzegł; »wstań wćpan, ażeby cię nie zdeptano.« Biédak leżał bez przytomności. »Komendancie!« zawołał szyper, »temu młodemu panu coś się źle zrobiło.« Dobroduszni majtkowie otoczyli go i zaczęli cucić. Leopold przyszedł do siebie, smutnie na otaczających go pojrzał, i wskazał na list, który trzymał w ręku. »Utopili ją barbarzyńcy!« zawołał zalewając się łzami. Nie chciał iść do kajuty; noc była piękna, postanowił pozostać na pokładzie, by bez przeszkody oddać się żalowi. Powoli uciszyło się na brygu; wkrótce słyszano tylko uderzenia wiosłami o okręt, szepty straż mających majtków i trzask rudla stérowego, którém kierował stérnik, mając zwrócone oczy na oświécony lampą kompas magnesowy. Leopold wzdychał często, a wtedy szanując żal jego milczeli szeptający majtkowie. Zbliżył się wreszcie na brzég okrętu, oczy wlepił w morze i zdawał się być od myśli okropnéj opanowany. Gdyby teraz zwłoki jéj, pomyślił, bałwanami gnane uderzyły o okręt! W téj chwili zdawało mu się istotnie, że coś płynęło za okrętem, mniemał nawet słyszéć westchnienie. Nadaremnie wzywał w pomoc rozumu, bo im bardziéj zmysły natężał, tym więcéj mniemał się przekonywać, że go nie mamiła ułuda. »Patrzcie! delfin!« zawołał jeden z majtków, »będziemy mieli piękną pogodę.« Pogoda sprzyjała w istocie aż do Tulonu, dokąd w ciągu cztérech dni przybyto.

Leopold, powróciwszy do Francyi, nie przestał tęsknić za swoją kochanką z Neblu. Często powtarzał dawniéj, że kilkakrotnie można kochać w życiu, ale teraz aż nadto jest tego zdania, iż raz tylko kochał prawdziwie, gdyż Znaira była jego piérwszą i ostatnią miłością.

S. L. J.

NOWY DWÓR.

Nad dworem, nad starym, lipy porastają,
A panu konika na wojnę siodłają;
Na wojnę, na wojnę, już koń osiodłany:
»A kiedyż ty wrócisz, mój mężu kochany?«

— »Jeźli Ten dozwoli, który jest na niebie,
»Za roczek, a za dwa powrócę do ciebie;
»Powrócę, powrócę: dowiém się dopiéro
»Haneczka w miłości, czy była mi szczera.

»Siadam na konika, już noga w strzemieniu:
»Pamiętaj Haneczko o mojém imieniu!
»Pamiętaj, pamiętaj, nie bądź taka skora,
»Nie przyjmuj obcego do mojego dwora.

»Choćby mię zabili, dodzierżę ci słowa,
»O saméj północy przybędę do dwora;
»Stary dwór, mójto dwór! nie dam lada komu
»Zalégać me łoże; gospodarzyć w domu.«

Zginął pan na wojnie; — w zielonéj dąbrowie
Dla wdowéj nowy dwór budują cieślowie;
Nowy dwór, nowy dwór budują... a po co?
Bo w starym mąż chodzi i straszy północą.

Kropi dészcz, po stawie kropełkami pluska,
A wdowę do ślubu już ubiéra drużka;
Do ślubu, do ślubu już pani gotowa,
Hej pani! to pana zabitego wdowa.

I z Janem młodzianem wychodzi z kościoła!
»Wieź na dwór, na nowy!« na woznicę woła,
»Nowy dwór, mójto dwór, już stoi pod dachem,
»W starym ja nocować nie będę ze strachem.«

I z Janem młodzianem w nowym dworze mieszka,
A trawą porasta do starego ścieżka;
Porasta, porasta, zioła oknem rosną,
Nieboszczyk w nim chodzi, o tém mówią głośno.

JADAM Z ZATORA.

Z TOMU TRZECIEGO

OPISANIA CZECH P. SOMMERA.

W obwodzie Bydoczowskim jest miasteczko Żiżelice, do państwa Chlumec, dziedzictwa hr. Kińskich należące. Miejsce to w 11tym wieku wsią jeszcze było, a książę czeski Brzetysław przeznaczył pewne z téj wsi dochody dla kanoników katedralnych z Starego-Bolesławia, aby w każdą rocznicę śmierci jego matki, Bożenny, w r. 1052 zmarłéj i w Starym-Bolesławiu pochowanéj, ucztę sobie (po czesku *jarmuż)* odprawiali. Zapis taki, przypominając *dziady* nasze w Litwie, dawnémi czasy wspólność obyczajów we wszystkich sławiańskich pokoleniach okazuje. Nadto dowodzi także, iż dzisiaj nie bardzo wykwintna trawa jarmuż, dawniéj ulubionym przysmakiem być musiała, gdy ją nazwą całego bankietu zaszczycono. W tymże obwodzie, w państwie Welisz-Wokszyce, własności hr. Schlik, we wsi Lhota-parzeska, leżą wśród lasu, na skale piaskowéj, rozwaliny zamku Hradek, inaczéj Husy(gęsi)-nóżka, także Husawiec zwane. Nazwisko to zaś przypomina u nas w zamku królewskim w Krakowie znaną kurzą stopę, któréj źródło niewiadome, a która początkiem powszechnego u ludu na-

szego przysłowia. Czeska Gęsia-nóżka, po części w skale wykuta i nie snadno dostępna, długi czas opryszkom podobno za schronienie służyła, i zapewnie dopiéro r. 1440 zburzoną została, gdy zamki rozbójników na granicach Bolesławskiego i Bydczowskiego obwodu niszczono. — Lecz ważniejszą od poprzedzających jest wiadomość, iż góry Królestwo Czeskie od Szląska dzielące i Olbrzymiemi (*Riesengebirge*) pospolicie mianowane, właściwie Karkonoskie góry (po czesku *kokonoskie hory*) się zowią, zkąd się i łacińska nazwa *cerconosii v. kokonosii montes* wykształciła. Tak i nasz Siarczyński w Jeografii tom II. str. 102: »*Montes cerconosii* lub *Sudeti* Czechy od Szląska dzielą.« Znaczenie i ród tego wyrazu tłómaczy p. Sommer figurycznie, iż te góry, jak ów Atlas w starożytności, wysoko nad horyzontem stérczące, niby dźwigają niebo na karkach swoich. Jakoż w opisaniu państwa Ilemnice wspomina górę Kokonosz, jako jednę z najgłówniéjszych tego pasma. Wiadomość ta, odkrywając nam piękne rodowite nazwisko gór, dotąd z niemiecka u nas mianowanych, okazuje razem, iż w téj mierze pomylił się i nasz geognosta uczony Stasic, gdy w dziele: »O ziemiorodztwie Karpatów i innych gór i równin Polski,« a w szczególności Rozpr. VII. str. 232 i kart geolog. *D.* góry, zwyczajnie *Riesengebirge*, Wielkońskiemi nazywa. Chybabyśmy całe pasmo Sudetów tak ochrzcili, dla rozróżnienia onego od piérwiastkowego tych gór gniazda. — W tymże jeszcze tomie wspomina p. Sommer o używanych w tych górach przez pastérzy fujarkach, na miejscu *Hellahörner* zwanych. Przypomina to owe tatrzańskich górali naszych hole czyli holice, którymto oni wyrazem głębokie mianują jary i wąwozy między niebotycznémi ciągnące się górami, a zwyczajnie za stok wodom i pastwiska owcom (statkowi) służące. Ciekawe tu wreszcie jest w państwie Wochlabe (wiérzch, u naszych górali wirch, po czesku *wrch*, Laby czyli Elby), po niemiecku *Hohenelbe*, opisanie źródeł téj przemożnéj rzéki, w któréj nurtach ojcowie nasi rozszérzone swém męztwem granice Polski, żelaznémi wytykali słupy. A. TOMK.

ŁZY RODZICÓW.

Pieszczoto serca, rodziców kochanie!
Także to zmieniasz radość ich na bole;
Tożeśto sobie obrała mieszkanie,
Ciasną trumienkę w tym głębokim dole?
Natoż cię matka do piersi tuliła,
I nato ojciec brał w swoje ramiona,
Byś z ich ogródka wyjszła róża miła,
Śmierć wianem wzięła, z grobem zaślubiona?
Takieżto, takie odprawiasz wesele...
Ojca i matkę opuszczasz zawcześnie!
Oni ci szczęścia życzyli tak wiele,
A ty ich w smutku zostawiasz boleśnie!

i. n. k.

MŚCIWE SIOSTRY.

Historyczna anegdota.

Autor francuzki Brantome opowiada nam w dziele swojém: *Femmes galantes, disc. I.*, że jeszcze za czasów swoich widział w Luwrze wielką najmisterniéj utkaną makatę, na któréj sześć kobiécych postaci z rózgami w ręku wyrobionych było, a pośród nich stał mężczyzna z obnażonym grzbietem, jakbyto srogiéj kary oczekujący. Gdy ten obraz kilkaset igieł zatrudniał w krosnach i królewskiego pałacu był ozdobą, nie będzie to niegodném pióra naszego, jeżeli opowiémy zdarzenie, które temu obrazowi za osnowę służyła:

Jean Meun, który na uwieńczenie skroni swojéj niemało wawrzynowych rószczek na galiiskim uszczknął parnasie, i który przez poprawę i uszlachetnienie języka francuzkiego i teraz jeszcze szanownym ojcem wymowy francuzkiéj nazywany; wydał był obok innych naukowych dzieł swoich romans *De la rose* zwany, w którym surowo na zepsute obyczaje współczesnych powstając, najbardziéj chłostał zbytek i rozwiązłość płci niewieściéj; co tylko dowcip, satyra, pośmiech, humor, podrzeźnienie wynaleźć może, miało tam popis tak dalece, iż się zdawało, jakby Jean Meun od płci pięknéj dostawszy odkosza, przez mściwość ze stu koszów sypał ciernie, aby ją kaleczyły!

Skoro się ten romans pojawił, nikt wątpić nie mógł, że tych sześć przedziwnie skréślonych charakterów, były portretami żywych kobiét; nie długo trwało, a domysł i porównanie wynalazły do nich imiona; wszyscy prawie palcami wskazywali na te panie, które poeta tak wyrazisto wedle ich natury i życia odmalował.

Sród tego samego czasu, gdy romans *De la rose* powszechnie był czytanym, odbiera Jean Meun słodki liścik, który jego próżności pochlebił, iż wszelkie napominania przeczucia umorzywszy, oddał się rozkosznéj nadziei polotowi. Staje na miejscu, na które był listem uprzejmie zaproszony; zégar uderza naznaczoną chwilę, a dwóch barczystych, w czarnych płaszczach drągalów, biorą go w swoje potężne ramiona, zawiązują mu oczy i niosą — on się cieszy, i mniema, że do raju miłości. — niosą go do tajemniczéj, czarnym całunem powleczonéj sali. Jakież jego było przerażenie, gdy się w tym lochu przed trybunałem trzech piekielnych sędziów ujrzał, którzy go, mimo jego wzbranianie i pogróżki do połowéj obnażywszy, pośród ciemnéj nocy zostawiają. Razem daje się słyszéć dzwon jękliwy, sala się pochodniami oświetla, a sześć jędz w czarnych obsłonach kroczy ku niemu uroczyście, i śmigając w powietrzu zamaszyście rózgami, biorą go we środek; trzech zaś w czarnych szatach zakapturzonych mężów staje na trybunie! Jeden z nich zabrał głos, i zaczął mówić z największą dobitnością: »Jesteśmy szanownymi świadkami sprawiedliwego sądu, który się dla tego tylko tak tajemniczo odbywa, ponieważ strona obrażona nie chce szkodzić sławie winowajcy. Miéjże nam zato wdzięczność i przyjm w pokorze i milczeniu zasłużoną karę za twoję zuchwałą bezwstydność, że się poważyłeś w dziele swojém te, przed tobą stojące panie, tak niemiłosiernie znieważyć!«

Nadaremnie starał się biedny obżałowaniec z uczynionych zarzutów usprawiedliwić strumieniem słów najpiękniejszych, nadaremnie starał się rozbroić zawzięte

panie z rózek, którémi nad głową jego wywijały; nic ich zmiększyć nie zdołało! Już się miał poddać krwawemu losowi, gdy oto razem, jakby łyskawicą, zostaje natchniony pomysłem, i tak do nich rzecze: »Niech się dzieje wola wasza sprawiedliwi sędziowie, poddaję się z pokorą wyrokowi waszemu, niech na grzbiecie moim ochłodzi się zemsta wasza, ale jednéj tylko łaski nie raczcie mi odmówić, to jest: aby mi pozostał wolny wybór, która mię z tych czarnych piękności swoją ładniutką rączką najpiérwéj ma smagać.«

Sędziowie i wykonywawczynie nie miały nic przeciw temu, i zezwolili na tę., jak się im zdawało niewinną prośbę: »Dobrze tedy, mam wasze słowo surowi sędziowie, i wy piękne Eumenidy;« rzekł delinkwent, »niechże ta, która z was jest najlekkomyślniejsza, najzłośliwsza i najbrzydsza, niech ta grzbiet mój najpiérwéj wychłoszcze!« Taka mowa była sękiem, trudnym do rozłupania! Panie, które już z podniesionémi rózgami w pogotowiu stały, i już zemście swojéj rozkosznie zadość uczynić miały, spuściły razem ramiona, zaczęły się mięszać i spoglądać to po sobie, to po sędziach, którzy w wielkiém byli zagadnieniu; żadna nie chciała być piérwszą; jedna drugą zachęcała, ale nadaremnie; pod tak surowym warukiem, trudno było być piérwszą! Gdy Jean Meun postrzegł to pomięszanie, rzekł do sędziów: »Wypogodźcie czoło i zniescie sąd moi panowie, albowiem warunek, który mnie jednogłośnie pod waszą uczciwością był pozwolony, musiałby koniecznie być wykonanym, coby mi nowy powód do satyry słusznie podać mogło, a którą zaniechać muszę, skoro się żadna bohatérka piérwszą nie ogłosi.« Poczém zwrócił się do pań, i w te do nich odezwał się słowa: »Pisać stało się moim nałogiem, darujcie bóstwa moje, ale ja pisać muszę; tak, będę pisał, i skoro mię z téj suchéj łaźni wypuścicie, napiszę panegiryk pod nazwą: Łagodność, jestto wdzięk najpiękniejszy, który umila płeć piękną!«

Na te słowa chłosty chciwe panie złagodniały jak jagnięta, miotełki z rąk im wypadły, a poeta, widząc drogę otwartą, drapnął co mu sił stało; przybiegłszy do domu, usiadł do pulpitu i uiścił, co przyrzekł: napisał pochwałę na cały ród niewieści!

— Ze Lwowa. —

Z końcem lutego r. 1836 wyjdzie (u pp. Kuhna i Millikowskiego drogą przedpłaty 2 złr. 30 kr. m. k.) dzieło: *Die Lehre vom Lichte, nach dem neuesten Zustande der Wissenschaft* (Nauka o świetle, według najnowszego stanu téj umiejętności), przez Dra. Kunzek, profesora przy tutejszym c. k. uniwersytecie. — Z prawdziwą przyjemnością pospieszamy uprzedzić czytelników, iż znajdą w tém dziele dokładny, jasny i zupełny wykład téj najbardziéj zajmującéj części nauki o przyrodzie, o któréj Jean Paul wyrzekł: że dwa jéj narzędzia, dalowid i drobnowid, są dwoma ramionami, którémi człowiek sięga w nieskończoność.

Z Warszawy. Wyszedł tu z druku Katalog galeryi obrazów, zebranych przez Michała Hieronima księcia Radziwiłła, wojewodę wileńskiego, przedtém po części w pałacu w Warszawie, po części w Nieborowie rozwieszonych, a teraz razem w Królikarni pod Warszawą w pięknym porządku i na korzystném miejscu publicznie do użytku i do zbycia wystawionych. Katalog ten ułożył p. Antoni Blank, profesor malarstwa b. uniwersytetu warszawskiego, dodając opisy, zwracające uwagę na dzieła ważniejsze, i nadmienił, iż książę Radziwiłł zbierał obrazy te prawie przez lat 60 w podróżach swoich po różnych stolicach europejskich z hojnym nakładem i trafnym wyborem. Z katalogu dowiadujemy się, iż Królikarnia zawiéra 403 obrazów, a między temi dzieła następujące: Baciarellego 1, Campidoglio 2, Canaletti (ojca) 1, Canaletti (syna) 4, Casanuova 4, Correggio (Ant.) 2, Dietricha 15, Domenichino Zampieri 1, van Dyck 1, Jana Dawida de Heem 7, Holbeina 7, Jana van Huysum 3, Klaudyjusza Lorrain 1, Franciszka van der Meulen 4, van der Neer 4, Norblin 6, Poussin 1, Rafaela d'Urbino 1, Rembrandta van Ryn 7, Ranucci 2, Salwatora Rosa 2, Piotra Pawła Rubensa 3, Jakóba Ruisdahla 2, Titian Vecelli 3, Józefa Vernet 10, Leonarda da Vinci 1; a z utworów damskich: 2 obrazy hrabiny Bubna, a 1 pani Lebrun. — Obok galeryi w poblizkim pokoju, znajduje się także zbiór kosztownych rycin, obejmujących galeryję obrazów, starożytności herkulańskie, Pio Clementino, dzieła architektury, rysunki ręczne sławnych autorów i t. d. Cały ten szacowny zbiór wynosi kilkanaście tysięcy sztuk. — Dla szczupłości miejsca pozostało jeszcze 170 obrazów w Nieborowie. (D.P.)

Książki w Rossyi w r. 1834. W języku rossyjskim wyszło w ogóle książek 523, w tymże języku razem z innemi 18, w polskim 37, w żmudzkim 3, niemieckim 91, łotewskim, estońskim, finlandzkim i szwedkim 26, francuzkim 36, angielskim 1, włoskim 3, hollenderskim 1, łacińskim 41, łacińskim i rossyjskim, łacińskim i niemieckim 5, nowogreckim 3, arabskim 1, perskim 1, hebrajskim i niemieckim 1. (T. P.)

»Reineke Fuchs,« podług przekładu Goethego ze staréj niemieczczyzny, przełożony został na język rossyjski, przez J. R. i wydany w Moskwie.

Owczarnia merynosów księcia Anhalt-Cöthen, w niemieckiéj osadzie Askania-nowa w Krymie założonéj, miała tego roku 24,661 merynosów, z których każda sztuka przynosiła 6 rubli i 53 kop. ass.

Włoscian Gresel w Austryi, jest uważany za największy jenijusz muzykalny; bez żadnéj pomocy sam się nauczył grać na 9 instrumentach, i przy ciężkiéj pracy wyuczył jeszcze 7 dzieci swoich grać na różnych instrumentach. Z tą małą orkiestrą jeździ z miasta do miasta, był w Wiedniu, gdzie mu się dobrze powodziło, odważył się nakoniec pojechać do Paryża, i tam w gimnazyjum muzyczném został na 20 wieczorów zamówiony, odbiera rzęsiste oklaski, był nawet w wiejskiém mieszkaniu króla i popisywał się przed rodziną królewską, jakto w liście pisanym do Gazety Teatral. Wiedeń. oświadcza.

Gdy panna Sontag, sławna śpiewaczka, przybyła do Frankfortu nad Menem, liczba ciekawych ją słyszeć było tak wielka, że wszystkie loże w teatrze dniem piérwéj zostały zamówione. Między ciekawymi był także pewien Anglik, który nie znalazłszy próżniéj loży, chciał wynająć dla siebie samego cały parter. Odpowiedziano mu, że takiego zwyczaju nie masz w Frankforcie.

Pan Schnitzer wydał: *La Russie, la Pologne et la Finlande;* obraz historyczny i t. d. w Paryżu.

Instytut historyczny w Paryżu zaprasza wszystkich krajowych i zagranicznych dziejopisarzy na zbór czternastodniowy, który się w d. 15. listopada w sali Śgo Jana w *Hôtel de Ville* odbędzie, ażeby roztrząsnąć pytanie przełożone od sześciu sekcyj w rzeczach, tyczących się prac towarzystwa, i rozszérzenia wiadomości historycznych. Rezultaty w swoim czasie ogłoszone będą.

Nazwa *Vaudeville* ma mieć początek z następującéj okoliczności: Olivier Basselin, folusznik w Normandyi na początku 16go wieku, tworzył humorystyczne piosnki i wtenczas, kiedy sukno na ramach rozpinał na dolinach (*vaux*) nad brzegiem rzéki *Vire,* zwykł takowe śpiewać. Pieśni te przeszły z czasem do ludu, i nazwane zostały *Vaux de Vire,* co wkrótce zamieniło się w *Vaudeville.*

Niedawnémi dniami w Lugdunie włócząca się banda oszustów zapowiedziała z wielką pompą afiszami walkę byków na sposób hiszpański. Wszystko z największą

ciekawością biegło do amfiteatru. Długo bardzo czekano, ale byków nie było widać, aż nareszcie na dany znak, dwóch młodych ludzi wyprowadziło dwoje dużych — cieląt. Widzowie, uważając w tém aluzyję, iż jeszcze nie są pełnoletni do walki, mocno się gniewali, lecz nareszcie śmiéch ogólny zakończył widowisko.

Cała ludność madrycka (powiada pewien podróżny) nosi na sobie piętno sobie właściwe, dziwnéj oryginalności. Gdyby kogoś z zawiązanémi oczyma przywieziono do Hiszpanii, i gdyby mu zasłonę dopiéro w Madrycie zdjęto, mógłby myśléć, że się znajduje w portowym mieście, tak ubiory są rozmaite; znajdziesz tam europejskie, wschodnie i hiszpańskie stroje, a niekiedy wszystkie trzy połączone razem. Walencyjanin z swoją jasno-barwistą chustką, na maurytański sposób zakręconą około głowy i z płaszczem w jasne strefy, który zgrabnie około ramion zarzuca; Maragato, który z kształtu i ubioru wiele ma z holenderskim majtkiem; Estremadurczyk, opasany pasem szerokim ze skóry bawoléj i z całym pękiem *chorisos* (kiełbas); Katalończyk z dzikim wzrokiem i ostrémi rysami, któremu, na kształt neapolitańskiego Lazaroni, z wełny czerwonéj opończa z ramion spada; Andaluzijanin w eleganckim stroju, ze swoją brunatną cerą i zbyt długiémi wąsami, a nakoniec mieszkaniec Galicyi brudny i niezgrabny, który za każdym krokiem gubi trzewiki, ważące wraz z ćwiokami i innem okuciem, zabezpieczającém od psującego bruku, przynajmniéj 3 do 4 funtów.

W Odensie, mieście duńskiém, nie dawno znaleziono rano na ulicy nagle na apoplexyję zmarłego ubogiego wyrobnika; gdy zdejmowano z ciała jego bardzo łataną odzież, dla obleczenia w pogrzebową koszulę, wypadł z załaty poczwórny dukat, natychmiast przejrzano wszystkie łaty, i za każdą było po kilka sztuk rozmaitéj złotéj monety, w ogóle wartości 7000 złr. m. k. Tegoż dnia zjawiło się kilka osób dowodzących, że są krewnémi nieboszczyka.

W czerwcu tego r. liczba w rejestr wciągniętych statków parowych w Wielkiéj Brytanii wynosiła 597, z ciężarem 36,849 beczek. Nie zapisanych było 84, a w robocie 46 statków. Z ogólnéj téj liczby 98 należało do Londynu, 56 do Glasgowa, 28 do Liwerpolu, 24 do Bristolu, 15 do Hull, 80 do Newcastle, a 14 do Sunderland.

Rękodzielnicy w Manszestrze, trudniący się przędzeniem bawełny, starają się jedni drugich przewyższać w cienkości nici. Do tego doprowadzono tę sztukę, że z funta bawełny wyciągają nić na 882,000 stóp długą, t. j: na 33 1/2 mil niemieckich. Tym sposobem wartość materyjału podnosi się od 22 groszy na 160 talarów.

Jeden z dzienników szwedzkich donosi, że gdy nie dawno niemiecki badacz starożytności dr. Löwe chciał widziéć sławny gotycki rękopis Ulfilesa w Upsali, zrobił tę uwagę zdziwionym biblijotekarzom, iż w rękopismie nie dostaje jedenaście przepysznie na purpurowym pargaminie złotem i srébrem pisanych kartek. Podejrzenie padło na pewnego angielskiego podróżnego, który niegdyś ten rękopis przeglądał. O podobne przypadki i podobnych biblijotekarzy, nie znających własnych skarbów, nie trudno! —

Okręt *Sir Walter Scott* płynął z Nowego-Orleanu do Liwerpolu d. 24. maja b. r. z 1794 pakami bawełny, z 18 majtkami i 3 podróżnymi, w liczbie których znajdowała się pani Hamilton. D. 21. czerwca rano wszczęła się okropna burza z grzmotami, a o godz. 8méj piorun uderzył w okręt z takim trzaskiem, że całe niebo zdawało się walić. Kapitan pospieszył na pokład. Piorun zdruzgotał maszt, który upadł na przednią część okrętu, gdzie majtkowie właśnie śniadanie jedli, tam wszystko pogruchotał i wszystkie liny i żagle pozrywał. Siła i prędkość tego uderzenia tak były wielkie, że utrzymały przez chwilę okręt na wierzchołku bałwanu. Wszyscy przerazili się, lecz nikt nie wiedział o wielkości nieszczęścia, bo dopiéro w kilka minut zabrzmiał odgłos: »Pali się!« Pali się na okręcie, na wielkiém morzu, śród burzy. Krzyk ten obudził majtków z osłupienia. »Puścić wielkie czółno!« Nie upłynęło sześciu minut, a już cały okręt był w płomieniach. Kapitan wpadł do kajuty i porwał za szablę i pistolety: »Majtkowie!« zawołał on, »nigdy nie opuściliście mię w niebezpieczeństwie. Polegam na was. Kto swojéj powinności nie dopełni w łeb mu wypalę... Podać obadwa czółna! spuścić na wodę! żywo! bo za dziesięć minut wszyscy zginiemy!« Pani Hamilton piérwsza wpadła na pokład z rozczochranym włosem i uchwyciła za rękę kapitana. Majtkowie wykonywali rozkazy. »Tę kobiétę najpiérwéj na czółno!« krzyknął kapitan. Okręt okropnie był miotany, płomień ze wszech stron go obejmował; maszty gięły się pod gwałtownością burzy. Kobiétę najpiérwéj wsadzono na czółno, za nią weszli wszyscy majtkowie; kapitan zeszedł z pokładu ostatni: »Czy wszyscy na czółnach? Odciąć liny! płyńmy!« W téj chwili palące się maszty padły na pokład, ogień wszystko ogarnął, pioruny biły, morze wrzało i wiatr gwałtownie łodziami pomiatał, i wkrótce *Walter Scott* strawiony ogniem, zatonął w morzu. Kapitan, majtkowie i podróżni płynęli do najbliższych pobrzeży. Z początkiem dnia następnego postrzeżono jakiś okręt w stronie wschodniéj; natychmiast wzniesiono maszt na łodzi kawałkiem starego worka miasto żagla. Okręt nazywał się *Saladin*, pod kapitanem Humphries, który zabrał nieszczęśliwych, pozbawionych całego majątku. Kapitan stracił 15,000 dolarów. Mieszkańcy Norfolku chcieli dla niego zrobić składkę. Kapitan odrzucił ją; przedał obie łodzie, opłacił swoje i swoich majtków wydatki, i z 10 dolarami powrócił do Nowego-Jorku, gdzie i te 10 dolr. dał pani Hamilton.

Przy wierceniu artezyjskiéj studni w Lockport, w państwie Nowym-Jorku, dostano się do głębokości stóp 70, gdy palny gaz w takiéj ilości zaczął się ztamtąd wydobywać, że go teraz do oświécenia używają.

Birmanowie i Siamczykowie chowają ryby, które walczą ze sobą. Ryby te, zwany w Siam *plakat*, są małe i tylko w świéżéj mogą żyć wodzie. Zwykle trzymane bywają każda osobno w dzbanach, dopiéro kiedy walka ma się rozpocząć, każdy wrzuca do sadzawki swoję rybkę, gdzie zaraz wściekle uderzają na siebie. Właściciele i widzowie, robią przy tem widowisku wielkie częstokroć zakłady.

W y l ę g a n i e r y b. Chińczykowie posiadają właściwy sposób wylęgania ikry rybiéj, aby tym sposobem młode plemię ochronić od przypadków, niszczących zwykle większą połowę zapłodku. Tym końcem więc, zbiérają rybacy na brzegach i na powierzchni wód wszystkie galaretowate masy, zawiérające ikrę rybią. Jeżeli już mają dostateczną onéj ilość, natenczas wypuściwszy białko i żółtko z jaje, napełnia się skorupa ikrą, otwór się zatyka, a jaje podkłada się pod kurę. Po kilku dniach jaje wpuszczają do wody ogrzanéj słońcem, gdzie, rozbiwszy takowe, pokazują się małe bardzo rybki, które dopóty trzeba zachowywać w coraz odświéżanéj wodzie, dopóki tak nie podrosną, aby do stawu wpuszczone być mogły. Przedaż ikry do rozpłodnienia ryb znaczną jest gałęzią handlu w Chinach.

M o d y. Wszystko każe się spodziéwać, iż kapelusze damskie na tę zimę będą obszérne, otwarte i głęboko na twarz, prawie aż do podbródka zachodzące. Z powodu tego kształtu kapeluszy, potrzeba będzie nosić loki, blondyny albo wstążki po obu stronach głowy. Wstążki wplatają się we włosy i powinny być tegoż samego koloru co i kapelusz.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.